Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

No. 34. POZNAŃ, DNIA 22. SIERPNIA. **1842.**

Literatura zagraniczna.

Der Geist der mathematischen Analysis und ihr Verhältniß zur Schule von **Dr. Martin Ohm.** Erste Abhandlung XVI. und 159. S. Berlin 1842.

(*Dalszy ciąg.*)

Trzecie źródło sprzeczności rachunku jest, że w analyzie nie rzadko się zdarza, z powodu braku potrzebnéj uwagi, iż ogólne zdania równie ogólnie kto odwróci; błąd przeciwko najpierwszym zasadom logiki, który najbłędniejsze wypadki za sobą pociąga. Wiadomą jest n. p. rzeczą, że skoro się znajduje w ogóle wartość na x, która zadanie jakie rozwiępzuje, takowa równania warunkom zadosyć czynić powinna; ale chcąc ztąd wnosić, że każda wartość, która równaniu jakiemu zadosyć czyni, zadanie rozwiązać może, jest oczywiście nic innego, jak błąd wyżéj wspomniony przeciwko zasadom logiki; błąd, który się jednak często zdarza. Uwaga podobna jeszcze bardziéj się tyczy postępowania z współczynnikami nieoznaczonemi; chcąc tu postępować bezpiecznie, albo dowieśdź à priori, że dla funkcyi obecnéj znajduje się w rzeczy saméj szereg, jaki był żądany, albo znalazłszy szereg, okazać à posteriori, że szereg ten warunkom istotnie zadosyć czyni.

Czwarta okoliczność, która w najnowszych czasach najwięcéj zatrudniła matematyków, ściąga się na rachunek szeregami nieskończonemi. Euler i Lagrange wprowadzali w rachunek szeregi nieskończone, niezważając wcale, czy wyrazy jego się zmniejszają lub zwiększają. Ale wiele wypadków widocznie błędnych, które ztąd powstały, były powodem dla wielu, a może dla największéj części, nowych matematyków, do szukania źródeł tego złego. Jak zły lekarz, który chorą nogę, zamiast ją koniecznie chcieć wyleczyć, do razu uciąć woli, aby niebolała; tak owi matematycy widząc, iż używanie szeregów nieskończonych pociąga za sobą niejakie sprzeczności, zamiast ich używać stósowniéj, zaniechać je wcale woleli, albo przynajmniéj używanie ich tak ograniczyli, jakby ich wcale nie było. P. Ohm sprzeciwił się dążności zniweczenia tego tak obfitego posiłku rachunków analitycznych. W obecnéj rozprawie widoki swe z taką jasnością, pewnością i wyraźnością objawił, iż musiałby kto koniecznie chcieć nierozumieć, albo chcieć pozostać przy dawniejszém, gdyby chciał cośkolwiek im zarzucić. Najważniejsze tu ma zastósowanie rozróżnienie równań wzorowych (formowych, ogólnych), a liczbowych. Podług rozróżnienia tego szeregi nieskończone również się dzielą na zupełnie ogólne, idące podług potęg jakiego wyrazu, który jeszcze jest bez wartości i tylko jest nośnikiem działania; albo liczbowe, w których ów ogólny wyraz wartość rzeczywistą, liczbową otrzymał. Z tego tedy, że znajdują się wyrazy skończone, które mogą być rozwinięte na szeregi nieskończone; wnieść téż można, że mogą się znajdować szeregi nieskończone, które wyrazowi skończonemu mogą zrównać, a mianowicie takie, zamiast których w rachunku skończony wyraz z tym samym skutkiem położyć można; taki to skończony wyraz zowie się summą szeregu ogólnego. Szereg zaś liczbowy nie daje summy, ma tylko, w razie zmniejszania się wyrazów, wartość przybliżoną. Przy szeregach ogólnych niemoże być mowy o zwiększaniu lub zmniejszaniu wyrazów dla tego, że głoski są bez wewnętrznéj wartości, są tylko nośniami działania. Istoty szeregów nie daje ogół wyrazów, ale tylko prawo, podług którego wyrazy postępują: przykłady (na str. 87 i 88) okazują, że dwa szeregi nieskończone, składające się z takichże samych wyrazów, ale w innym porządku idących, mają przecież wcale różne

summy. Z tego wyobrażenia szeregów nieskończonych wynika, iż wszystko, co o funkcyach, niezważając na ilość ich wyrazów, powiedzieć można, na szeregi ma zastósowanie; podobnież jako to, co się da powiedzieć o wielobokach, ale bez względu na ilość boków, do linij krzywych zastósować można. Jeżeli zaś w szereg taki wstawimy w miejsce ogólnego wyrazu pewną wartość liczbową, natenczas albo szereg liczbowy otrzyma wartość wtedy, kiedy ma wyrazy spadające, albo nie otrzyma jéj wcale. W pierwszym razie musi téż summa ogólnego szeregu, innemi słowy równy jéj wyraz skończony, być równy téjże wartości; w przeciwnym zaś razie, kiedy szeregu liczbowego wyrazy rosną, wypadek ten nie jest fałszywym, okazuje tylko, że w szczególnym tym przypadku wypadek ogólny miejsca mieć nie może, i że obrachunek na nowo inaczéj prowadzić należy. Toż samo o zerze: z tego, że funkcya na pewną wartość ilości zmiennych przybierze postać $\frac{1}{0}$, wnosić nie można, jakoby równanie, z którego owa funkcya wypłynęła, było fałszywe, ale tylko wypada, że obrachunek inaczéj prowadzić trzeba. Tak téż, kiedy we wzorze całkowych (formule integralnéj) w szczególnym przypadku zero w mianowniku wypadnie, niemożna ztąd wnosić, że wzór ogólny jest fałszywy, ale tylko pokazuje się wtenczas, że zastósowanie w tym razie miejsca nie ma. Szereg zwiększający się nie jest zaś nic innego, jak tylko funkcya, która na pewny przypadek zmiennego, przybrała postać $\frac{1}{0}$. Dla czegoż to na szeregi ogólne szukać innych praw, a nie chcieć ich podciągnąć pod prawa służące wszelkim wyrazom ogólnym? Trudno tu bliżéj się zaciekać w szczegóły; kto je chce bliżéj poznać, samą rozprawę pana Ohma czytać winien.

Piąta wreszcie okoliczność, którą pan Ohm za źródło sprzeczności uważa, jest, iż często kto wypadkom ogólne znaczenie daje i takie w rachunek wprowadza, kiedy one tylko na szczególne przypadki dowiedzione zostały i w takich tylko są prawdziwe. Euler i Lagrange często temu błędowi podpadli, zastósowywując formuły obrachowane dla potęg w całych liczbach, na potęgi z wykładnikami ułamkowemi, nawet urojonemi, co miało skutek już tu powyżéj wykazany. Ten sam błąd pociągnął u Krampa fałszywe za sobą wypadki, kiedy równania, dowiedzione tylko na fakultety z całemi liczbami, na ułamkowe fakultety chciał rozciągnąć. Ale matematycy, którzy w szeregach nieskończonych summarycznie postępowali byli, tu przeciwnéj użyli drogi: mimo puszczając szczegóły, do razu od ogółów zaczynali. Rzecz ma trochę pozoru za sobą; ale w istocie podobna jest do owego zamiaru nie puszczenia się pierwéj na wodę, aż się kto pływać nauczy. Są n. p. fakultety trzy równania i z wyobrażenia fakultetu, iż tym trzem równaniom zadosyć czynić powinien, będzie chciał kto wyprowadzić całą naukę fakultetów, a nie przekona się, czy téż równania te nie mają nic sprzecznego w sobie; natenczas w szczególnych przypadkach łatwo sprzeczności i fałsze wypaśdź mogą. A właśnie przy fakultetach zależy na tém, iżby jedno z trzech równań szczególnym tylko warunkom odpowiadało, wyłączało zaś wszelkie inne. Jeżeli metoda ta ma prowadzić do prawych wypadków, natenczas nasamprzód wykazaném być winno, iż w żadnym szczególnym przypadku ustawione równania zasadowe nie sprzeciwiają się sobie: a to tylko się da na drodze od szczegółów do ogółu, jaką Pan Ohm pierwszy w téj zupełności postępować potrafił. Takie zaś, jak wyżéj się rzekło, postępowanie: dawać zamiast wyobrażeń zasadowych do razu formuły, jest wreszcie i niedorzeczném; przecież należy n. p. mieć pierwéj wyobrażenie potęgi, niżeliby na potęgi, formuły wynajdować można.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

POEZYA.

ROZMOWA.

(Triolet.)

Zaśpiewam ci triolecik,
Nie gardź drobniuchnym aniołkiem.
Weźno w rękę sielski flecik,
Zaśpiewamy triolecik —
Piosnek sławiańskich bukiecik
Żadnym nie gardzi fiołkiem;
Więc już śpiewam triolecik,
Nie gardź drobniuchnym aniołkiem!

„W piersi młodzieńca ryk burzy,
„W sercu Sławiana krew sączy;
„O nie do ptaszka i róży
„Śpiewać, gdy w piersi ryk burzy!
„Czemuż dłoń wieszcza nie złączy
„Strón wszystkich? świata? nie schmurzy?
„Gdy w piersi jego ryk burzy,
„A w sercu Sławian krew sączy?

Gdy zabrzmi pieśń zmartwychwstania
I rogu grzmiące akordy;
To i moje ciche piania
Wzrosną na pieśń zmartwychwstania.

Dziś — — siłę boleść pochłania. . . .
O kiedyż ozwą się kordy?
Kiedyż zabrzmią zmartwychwstania
Grzmiące, chrapliwe akordy??

„Nie tobie pytać przystoi,
„Nam raczéj spytać się ciebie
„Wieszcz — stróż ojczystych podwoi,
„Nie jemu pytać przystoi!
„Niechno wieszcz lutnię nastroi
„I zagra aż odgrzmi w niebie. . . .!
„Nie tobie pytać przystoi,
„Nam raczéj pytać się ciebie!

„Wejrz po téj wielkiéj przestrzeni,
„Od mórz do morza lud płacze!
„Nigdzie się nic nie zieleni
„Na tak ogromnéj przestrzeni. . . .!
„O! nie szczędź siły do pieni,
„Posłuszni oni słuchacze;
„Niech na słowiańskiéj przestrzeni
„Lud biedny więcéj nie płacze!"

M.

Małgorzata z Żębocina.

Powieść historyczna.

(Dalszy ciąg.)

A był tam jeden dworzec z osobna ku Białéj-wodzie, bokiem miał strzelnicę rosłą jak dąb, i wyżéj jak dąb, bo jeden dąb na drugi kładziono, na drugim trzeci, dopiero czwarty krajał się w zęby u góry; i tak zębato patrzał bez strzechy w niebo w prost. Ten dworzec Mikołaj Strzemieniec miał, a tę wieżę król. Wieża jak król broniła pod sobą stojące dworce od węgierskich, czeskich szabel, bo na niéj gdy w domu męże, stajał w zbroi Lach i na błonia, piaski, bory utykał okiem pod noc; a gdy zoczył wędrowny ogień z gościem z Węgier lub Czech, krzyczał z góry na braci: „Hej! hej do szabli, kto mąż!" Owoż cztery stąpań od téj wieżycy Strzemieńca dworzec był. On przed królem nosił miecz, jak przed wieżą strzecha swój łeb; on teraz z królem, w dworcu została żona, takoż wdowieje od siedmioro lat i dworzec ma, i Węgra nie jednego jeńcem ma; a z chucią rozpustną nie goni z innymi, bo Małgorzata z Żębocina i cnotę ma. Krzyki i wrzaski pożądliwych chuci dolecą jéj to oknem dworca, ona okno zasunie; to wlecą głosem do ucha, na ucho położy dłoń i siedzi jako matka w roju pszczół, poważana od własnych myśli. A serce żonine za Panem, za mężem wsadziła na koń i tak z nim cwałuje wciąż za słonkiem swém. A gdy przyśni, że on powraca, to jéj dziw; a gdy zamarzy, że on daleko, to jéj noc; a kiedy zamyśli o ruskim Kijowie, to jéj tu chwila rok i Małgorzata w płacze.

A na to nabiegło chłopię, Helgundy bratanek, co to był zajrzał w Swatochny komorę. Widzi Małgorzaty łzy i śmieje się: „Ja, mówi, dwoje rąk mam, ja mam i dwoje ust; — Małgosiu! na co płacz? Twój przed królem nosi miecz, ja przed cię poniosę pierś, a z téj piersi miód ci dam!"

Małgorzata podnosi wzrok, a myśli, że to djabeł nie chłopię, co ją chce wodzić na tron. Więc żegna w imię Ojca; więc mówi: w imię Syna, a chłopię śmiejąc się wciąż, stoi jak stał.

I znów poczyna: „Małgosiu! na co krzyż? — Ja z ramion krzyż ci urobię; wyjem ci z wargi jęki, ino mi czoło schyl." — Ona potargnęła sobą i sprostowała się: a chłopię przy niéj jak palem koło grany tarń. — Na przekór woła znów: „Małgosiu! w obie mię ręce weź, boć ja biały ptak; gdy wzlecę ci ku sercu, trzaskotnę w oba skrzydła, po mężu nie spłacesz już." — Małgorzata jak stała, tak skoczyła ku drzwiom, w białe dłonie uderzyła i w pięści je zaklęsnęła. — Chłopię uskokło w bok i hihocze się. „Małgosiu! na co gniew? odrzwie nie łoże, dworzec nie podwórze. Małgosiu! na co tu pięść?" — Strzemieńcowa żona nie znalazła na to głosu, ale rąk dwie; jedną pochwyciła chłopię za włos, drugą za kawał drzewa, co w rogu stało, i uderzy pacholę w twarz. Pół twarzy się śmiało i zostało śmiejące, a drugie pół rozbrzyzło krwią i ciałem, rozszarpane jak piorunem buk. „To masz pacholę całus; kloc mój nie łoże, dworzec mój nie podwórze, a w piersiach twych gdzie miód?"

I tak skończyło chłopię igranki swe i padając głową o drzwi stukotnął, krwią i ciałem na progi dworca posączył i pokładł się wznak, by więcéj nie wstał już. I był jakoby wałem, za który bezwstydowi nie stąpać, a krew, co wejrzała za progiem, to jako żydowskiego baranka krew pomaściła odrzwie jéj, by anioł zemsty, co zajdzie z mieczem na Paschę zemsty, nie zaglądnął tu. — Teraz cicho było w Strzemieńcowym dworze przez jednę dobę i przez jednę noc; pożoga bezwstydu hulała za wrotami, nawołując do siebie wielką niewiast moc. A cnota poszła na rozstajne drogi, wdowie szaty na się układła i czekała tam, aże nadbiegnie chmura z kijowskich stron; bo ona jéj na barki skoczy, mężom Lachom rozpowiada o swém sieroctwie, a do dworców nie wróci, aże na mieczu ich.

Gdy nastał dzień, chłopięta Lachy i jeńcy nad Białą-wodą poczęli zwijać się, chodzić, rozglądać, szaleć, pustować; a na czele im Baśko-Tur. To Węgier ów, co go Swatochna wywiodła z ciemnicy, co

teraz spija z jéj łoża i piwnicy, co miał najlepszego Pan; bo teraz Baśko-Tur Pan. Rozwąchał się w życiu jak w trawie koń, rozrósł w Swatochny ramionach jak ruski Błud — a nikt tak nie grzmi w rospustę siłami całemi, jak on. By taką chucią wrzeć, trza tak szeroką pierś mieć, i tak niepokolanie czuć; trzeba, by w téj piersi czekając siadło trzydzieści lat, a każde lato by zostawiło swą gorącą krew. Baśko-Tur pali się wszystkiemi krwiami swoich lat; a w każdém lecie kochałby niewiast nie dwie, nie trzy; a w każdém lecie silnemi barki ubiłby Lachów nie sto, nie dwa. A teraz Baśko-Tur oburącz jął za bezwstyd; on mu i kordem, on mu uściskiem, on mu zaklęciem, on mu życiem jest; i jakże Baśko-Tur nie ma tak palić się? —

Koło dworca Małgorzaty stanął Baśko-Tur z czeredą. Widzą krew; czyja to krew? — Odważy odrzwie, wysunie niemi głowę i pojrzy po zabitym chłopięciu. A skoro go Strzemieńcowa żona postrzegła, skoczy do kloca znów, podnosi w górę i mierzy w Węgra nim. Baśko-Tur zręcznie uskoczył za próg, poznał co rani matronę i myśli: „złowię ją.“ — Baśkowi zamyśleć wolno, boć tak dawno jak nic nie myślał, boć też teraz zamyśla nie stworzone rzeczy: „Ptaszka w locie, niewiastę w cnocie.“ — Zje licha, jeżli dokona tak!

Przybieżała młódź, zlecieli jeńcy na Baśki-Tura krzyk i osaczyli dworzec, łomocą weń z całych sił. Małgorzata z Żębocina kołkiem zaszczepła drzwi, zawala klocem, a czeka wciąż z starym mieczem w prawicy, co ze szczerbcem w domu został sam; jak się nawinie kto, to ona machnie nim, jak Pan, jéj mąż. Obóz bezwstydu ciągle huczy w podworcu, z wrzaskiem w komory się pcha, że aż strach; Małgorzacie to nic, Małgorzacie to ulewa, ona pod strzechą Strzemieńca; z klęcia Węgra słychać wciąż, to deszcz, — ona Laszka. Ale ulewa coraz silniéj huczy; dworzec ze drzewa, drzewo nie kamień, a oni mocniéj tłuką; Małgorzata w płacz. Na stary pancerz Miecznika jedna jéj upadła łza; a ręka jéj, co za tą łzą biegła, trąciła weń i pancerz dźwięknął: nie dźwięknął, ale zagadał do niéj, ona rozumie go, bo tak Pan Bóg chciał. On mówił: „Wdziéj mnie, wdziéj!“ — Małgorzata kwapi się; bo odrzwie skrzypią częściéj, kamieniami tłuką sporzéj, Baśko-Tur aż chrypie, tak klnie. — Zawitka z głowy Małgorzacie spada, a włazi hełm; adamaszek zwija z bioder, bierze pancerz; co niewieście na ziemi, a Małgorzata mąż. Już się tak sunie do walki; ale to waży w umyśle, że ona sama jedyna, a ich tak wielka moc. Co robić, Boże radź!.... Stanęła chwilę z wielkiém prośbą w oku, z wielkiém słowem modlitwy, że anioł jéj stroż miał czas zalecieć do Nieba, uprosić Boga-rodzicy za sobą i za nią; myślą uniósł w Nieba jéj duszę, z tamtąd do męża na Kijów i z tajemną poradą wrzucił jéj na łono myśl. Małgorzata śmielsza już; bierze co prędzéj ode drzwi drzewa kloc, ubiera go w zawitkę białą i adamaszkiem odziewa, i sadza go w rogu łoża swego, a sama kryje się za drzwi tuż, nogi swe chłopięcia trupem zakrywszy. — O! właśnie był czas, bo kołek we drzwiach pękł. — Toczy się zgraja; Baśko-Tur, jako tur na czole. Pojrzą na zawitkę białą, więc wszyscy w cwał do łoża. — „Małgosiu! a tuś! — a tuś?“ Na zbroję nie patrzali; zdała się wisieć na ścianie, a nad nią hełm. Wtém zbroja i hełm skoczy jak łania przez próg; — kto w progu jeszcze stał, to mieczem wziął i w kącie drga; a ona w zbroi mąż, gdzie leci?.... czy się im wybiega?... Toście przecie czytali wyżéj.

„Cztéry stąpań ino od królewskiéj wieżycy dworzec Strzemieńca stał.“ Więc Małgorzata do wieży i już siedzi tam.

A oszukane chłopięta, a tryumfny Baśko-Tur oburącz chwyta przy łożu kloc; jak zdusił go, dopieroż ocknął się. Reszta gawiedzi zesłupiała stoi; zlękła się, kiedy ruszyła zbroja; zdało się im, że wszystka zbroja w Kijowie, że to z Kijowa zleciał Supan, kilku po uszach zaciął, a teraz poleciał w podwórze zwoływać mężów w pomoc; — poczęli uciekać! Ostał się Baśko Węgier sam, a na czém świat stoi sklął, cisnął w podłogę kloc, zawitkę rozdarł na dwoje i chrypał z gardła jak wilk borowy: „Czekaj Małgorzato wraz!...“ W dworcu pustkowie, jeden on i łoża dwa; to się przerzuci na łoże, nogami rozpycha płótno, wywraca się z jednego w drugi bok; tako się tarza po biegu koń w piasku, on w łożu; — kopytem, on nogą; — ten rykiem, a wrzaskiem ów.

Małgorzata wysoko jak cnota świéci puklerzem z wieżycy, szeroko z piersi puściła dech aże do Kijowa i daléj; bo ten dech posłyszał w Niebiosach Bóg. U dołu wejścia zasunęła żelazem; tamby i zamorski nie zajrzał gość, choćby z czakanem. A w górze ganek jest i gruby z konopi sznur; ona jak zrzuci ku ziemi końcem jednym sznur, to jaka dusza pobożna szlachetna włoży tam chleba kęs, sudzinę Białéj-wody, *) to będzie dla pustelnicy dość, póki nie wróci z ruskiéj krainy Pan z Żębocina, jéj mąż. — Już czeka tam spełna niedziel dwie, a co wieczora spuszcza węzłowy sznur ku ziemi, a zawsze w węzeł mrokiem ktoś kładzie

---

*) Sudzina, jak wyżéj widzimy, starożytna miara na piwo, wyżéj kwarty.

jéj chleba, sudzinę wody zaczepi, i ona ciągnie to. Czy aniół chleb jéj dawał, czy jaka rozbitka cnoty, co tam na dole została, Małgorzaty chwaląc czyn, ale za nizka doń; tego ja nie powiem wam. Dość, że się dziwili ludzie, czém ona może żyć; bo cały boży dzień tłuszcza chłopiąt i Baśko-Tur tłucze się koło téj wieży, okiem i chucią szczeblują do Małgorzaty, ale to nie nada im, bo ona siedzi wysoko jak w chmurze grzmot. Widzieć go ludzie widzą, ale zagadać do niego, ale go zwabić na ziemię, to tylko chmurze i Bogu. Choć często Baśko-Tur całém ciałem rzuci się w górę, zawadzi nogą gdzieś o krawędzie i tak do góry zadziera głowę; wieża jak była z ziemi wysoka, tak jeszcze jest.

Małgorzaty jak tam niewidno, tak i tu, a on zasapał się już.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZBIÓR KRYTYCZNY
HISTORYI LITERATURY POLSKIÉJ
przez
M. Wiszniewskiego.

3 tomy. Kraków 1840—1841.

(Dalszy ciąg.)

Na str. 19 tomu pierwszego czytamy zaś: „w odbudowaniu historycznem.... potrzeba (między innémi) wszystko przeczytać, ...a potém *wszystko zapomnieć*, aby się te różnorodne rzeczy w przypomnieniu w jedno przetopiły.“ — Autór doświadczywszy tu podobno takowéj operacyi umysłowéj, oczéwiście źle na tém wyszedł. Zapomniawszy co wyczytał w Sołeckim i Nakielskim, przypomniał sobie, że Martinus Gallus, który pisał dzieje polskie, przyszedł z Jerozolimy do Polski“.... posłał więc Marcina do ziemi świętéj. W tém jego mniemaniu utwierdziły go bezwątpienia „źle zrozumiane słowa“ Gallusa: „non est mirum a labore si parum quievimus, Tempus erat quiescendi, *tot terras transivimus* (str. 130);“ bo autór powiada na str. 57: „te ostatnie słowa oznaczają może jego pielgrzymkę do Jerozolimy.“ 1) Ale dla czego autor Marcina *dwa razy* wyprawił do ziemi ś., raz przed r. 1118, drugi raz r. 1162; o wynalezienie źródła, z którego wyciekła owa wiadomość, ani kusić się nie śmiem. — Panów Henryka Sandomirskiego i JW. Jaksę — podług świadectwa Długoszowego herbu Gryf, i podług przesławnego Niesieckiego 2) nawet idącego z książąt serbskich, wysłał roku 1140 razem do ziemi ś. pierwszy, ile mi wiadomo, Sarnicki, pisarz XVIgo wieku. 3) Gallus jednak tego Jaksy całkiem nie zna, „z którym się,“ według mniemania autora, „mógł znać na dworze Bolesława III.“ Kadłubek wspomina o jakimś Jaksie, wysokim dostojniku polskim za Mieczysława Starego 4), toż samo czynią Baszko i Dzierżwa. O podróży obu mężów ani Kadłubek, ani Baszko, ani Dzierżwa nie wiedzą nic. Dopiéro pan Długosz z łaski swéj donosi, iż Henryk Sandomirski wybierał się do ziemi ś. r. 1154, (I, 486. 7), a Jaksa r. 1162. Czy ci panowie w istocie byli w Jerozolimie, i kiedy, zapytanie takie rozwiązać, poczytuję tu za zbytnią. — „Źle zrozumiane słowa o Ś. Stanisławie,“ pisze autór na str. 53: „neque enim traditorem episcopu excusamus, neque regem vindicantem sic se turpiter, commendamus,“ *może* były przyczyną, iż ta kronika w klasztorze ukrywana, *późniejszym* kronikarzom *aż do* Długosza, *nieznaną* była.“ Ale to omyłka. Bo kronika Gallusa już au-

---

1) Obeznany dobrze ze sposobem pisania Gallusa, przenośnię używaną przez Gallusa lepiéj zrozumie. Trzeba jeszcze tu dodać dwa następujące po przytoczonych słowach wiersze: „Neque ceptum iter bene cognitum habuimus, sed per illos, qui noverunt, paulatim inquisivimus.“ Z pod téj przenośni Gallusowéj wykrywa się tylko wyznanie jego: iż on trochę odpoczął po pracy, w któréj mówił o tylu narodach i ziemiach, opisując dzieje Polski aż do urodzenia Bolesława III, i dotkniętego przedmiotu dostatecznie nie zgłębił; a tyle tylko o nim podał do wiadomości, ile mu udzielały osoby obeznane z nim (t. j. przedmiotem). — Prawie w tenże sam sens objaśnia Winc. Bandtkie wspomnianą przenośnię, w przedmowie do Gallusa p. XXII. pisząc: „Quae vero tropica figura profert Martinus Gallus (p. 130) non de domicilio habito in hostico solo, nec de itinere exin in Poloniam peracto, sed de interrupto narrationis filio intelligenda esse“ etc. ... Podobnych przenośni Gallus często używa, n. p. str. 5: „nec de tante silvarum densitate ignarus vie potuissem exire, ni vestre (t. j. biskupów polskich) benignitati placuisset, certas mihi metas interius aperire.“ Tu prosto wyznaje, iż bez pomocy biskupów (i Michała kanclerza) nie mógłby był dokonać pracy swéj, t. j. nie pisałby on dzieła swego, gdyby oni nie byli mu dostarczyli materyałów.

2) Tom IV., 308 i d. wybornego wydania Bobrowicza. Czytać można tamże bardzo pocieszną wiadomość o sławném stworzeniu fantastyczném, o onym Gryfie. Że X. **Jezuita** Niesiecki tyle głupstw i kłamstw popisał, dziwić się temu nie przypada. Trzeba mieć to na uwadze, iż on należał do grona wybrańców wylanych na wszystko, coby mogło powściągnąć chęć postępowania w oświacie i w rozwijaniu władz umysłowych, udzielaną ludzkości przez Stwórcę świata. *P. A.*

3) W drugim tomie wyd. lipsk. Długosza str. 1069: „Hunc (t. j. Henryka) secutus est quoque Jasca.“

4) Wyd. warsz. II, 32. Tu przezwano go „*Ajax*.“

torowi Chronicae principum Polonorum tak dobrze była znaną, iż on uczuł potrzebę, wypisywać z niéj, nieraz co do słowa. 5) Dziwię się, że autór na témtu miejscu o tém nie wspomina, gdyż na str. 119 mówiąc o owym kronikarzu, wie, że „w jego kronice przebijają się gdzieniegdzie nienaruszone wyrazy .... a szczególniéj Gallusa.“ — Długosz znając doskonale kronikę Marcina Gallusa, pilnie téż czerpał z niéj; najczęściéj poprzerabiał zdania Gallusa, zachował jednak wiele wyrazów, a nawet całe jego zdania. 6)

Jeszcze tu kilka mniejszych uchybień sprostować należy. „W rękopiśmie Szamotulskiego (t. j. heilsberskim) była podłożona chronologia“, pisze autór na str. 52. 53.; „a gdy ten dawniejszy jest od gnieźnieńskiego, przeto *dla chronologii*, i dla tego, że pochodził z Miechowa, gdzie podobno Gallus był przełożonym, *na większą zasługuje ufność*“ (sic). O chronologii podłożonéj w kodeksie heilsberskim ani wydawca tegoż, Lengnich, ani W. Bandtkie, wydawca rękopismu gnieźnieńskiego, w przedmowie wzmianki nie uczynił. Mniejsza zresztą o to, czy sześć dat dodanych do kroniki Gallusa heilsberskiego, a w wydaniu Bandtkiego zamieszczonych w przypiskach — na całe dzieło Gallusowe — zasługują na imię chronologii.— Nie wiadomo, czy ta drobna chronologia podłożona tąż samą ręką, co popisała samo rękopismo heilsberskie, czy późniejszéj ręki jest dodatkiem. Oba kodeksy pochodzą z w. XVgo; *zdaje się*, iż heilsberski o kilkanaście lat starszy jest od gnieźnieńskiego; popisanym został cały r. 1426, na tym bowiem roku kończy się, a jest pracą jednegoż przepisywacza, 7) według wszelkiego podobieństwa do prawdy. — Lecz kodeks gnieźnieński zawiera bardzo wiele wiadomości całkiem opuszczonych w kodeksie heilsberskim, a co najważniejsza, kodeks heilsberski zeszpecony jest wyjątkami z życia Ś. Stanisława; bo w nim znajduje się powieść o mnichostwie Kazimierza, jako téż o przesadzonych albo może całkiem zmyślonych okrucieństwach Bolesława II. Prócz tego opowiadanie rękopismu gnieźnieńskiego jest poprawniejsze aniżeli heilsberskiego. — Już dla tychże przyczyn kodeks heilsberski podobno nie zasługuje na większą ufność jak gnieźnieński. — Z resztą sam autór na str. 59 przyznaje: że *„rękopism gnieźnieński jest daleko lepszy i zupełniejszy, bo mniéj przez pisarza naruszony.“* — Mniema autór na str. 57. idąc za zdaniem Lelewela, (Vinc. Kadłubek von Linde p. 606) iż „Gallus pisał księgę trzecią po r. 1130, bo mówi o pielgrzymce Bolesława Krzywoustego do Ś. Egidyusza i Ś. Szczepana, co miało miejsce w r. 1130.“ Do tegoż

---

5) Patrz: *Stenzla* Script, rer. Sil. tom. I, p. 45—92. Stenzel powyznaczał miejsca wypisane z Gallusa. *P. A.*

6) Długosz 1, 9: „Ab Aquilone Polonia septentrionalis, pars est Slavoniae, quae habet aboriente Russiam, ab Austro Hungariam, a Subsolano Moraviam et Bohemiam, ab occidente Daciam et Saxoniam collaterales. Terminatur autem Polonorum regio ad Aquilonem a Sarmatis, qui et Getae vocantur in Daciam et Saxoniam, a Thraci autem per Hungariam, sive verius Pannoniam hinc descendendo per Carinthiam et Bavariam. Ad Austrum vero juxta Mare mediterrannum, ab Epiro derivando per Dalmatiam, Carvatiam, et Histriam finibus maris Adriatici, definitur, ubi Venetia et Aquilegia sequestrantur.“ — Martinus Gallus p. 14 ... „ab aquilone Polonia septentrionalis pars est Slavonie, que habet ab oriente Rusiam, ab Austro Ungariam, a subsolano Moraviam et Bohemiam, ab occidente Daciam, et Saxoniam collaterales“ ... p. 16: „Igitur terra Slavonica ad aquilonem .... a Sarmaticis qui et Getae vocantur, in Daciam et Saxoniam terminatur, a Tracia autem per Ungariam .... descendendo, per Carinthiam in (et) Bavariam... ad Austrum vero juxta mare mediterraneum ab Eppyro derivando per Dalmatiam, Crovaciam et Histriam, finibus maris Adriatici terminata, ubi Venecia et Aquileia consistit, ab Hytalia, segnestratur.

7) Oba kodeksy, tak heilsberski jako i gnieźnieński, pochodzą z w. XVgo. Wydawca Gallusa, Wincenty Bandtkie, w przedmowie do swojéj edycyi nie zupełnie dostateczną wiadomość podaje o nich. Co się tycze heilsberskiego, pisze on na str. XI.: „Codex Heilsbergensis in papyro satis nitide scriptus,“ nie dodając, czy „cały“ albo „jednąż ręką.“ O podłożonéj chronologii w przedmowie nic nie wspomina, nie wiedzieć zatém, czy ona tąż samą ręką, co popisała kodeks, czy późniejszą podłożona. Na str. XII: „Primae quoque paginae pars ima in margine *praefert annum*, auratis litteris minoribus exhibitum, *quo* codex hicce *scriptus* esse *videtur*: Liber magnifici domi (domini) Petri de Schamotulo Castellani et Capitanei Posnan. 1471.“ Tu znowu nie powiada, czy wspomniane słowa taż sama ręka pisała, co kronikę Gallusa, czy inna? Na początku kodeksu znajduje się między innemi (str. XIII.) „brevior descriptio eorum, quae in codice hoc continentur,“ napisana nie przed rokiem 1760., jak widać z końca téj notatki (str. XV.); autor téjże pisze: „Videturque codex hicce integer anno ipso 1426. manu eadem descriptus esse,“ bo się na tym roku kończy. Tegoż zdania jest także Lengnich, wydawca kodeksu heilsberskiego, który pisze w przedmowie do „Vinc. Kadlubko et Martinus Gallus“ etc. p. I: „Id autem constat, anno 1426. descriptum esse, qui annus ... non tantum de solo hoc Chronico, sed et de sequentibus intelligendum, cum „iidem literarum ductus, idem atramentum, eadem charta, satis demonstrent, eandem moram, eodem tempore integrum codicem exarasse.“ Rok 1471 oznacza może czas, kiedy stał się własnością Szamotulskiego. — O drugim kodeksie, t. j gnieźnieńskim, W. Bandtkie tak się wypisuje p. XV i XVI: „Codicem Gnesnensem seculo XIV vel XVto quoque addicendum esse censeo, quod eadem fere scribendi compendia, iidem litterarum ductos in utroque conspiciuntur codice.“ Rękopism ten, prócz Gallusa i Dzierżwy, wiele innych pism zawierający, różnémi pisany jest rękoma. Szkoda, że W. Bandtkie nie powiedział, dla czego on ma pochodzić a l b o z XIV, a l b o XVgo w.

roku Długosz odsyła tę pielgrzymkę; tu zaś zachodzi pytanie, czy téż chronologia Długosza zgadza się z prawdą? Bo zkąd ją Długosz powydobywał? — Na str. 58 czytam: „Gallus albowiem czerpał swoje dzieje z pieśni, które w polskim języku na dworze Piastów śpiewano.“ Pytam się, co autora spowodowało do tego domysłu? W Gallusie o tém wzmianki jak niéma tak niéma. — Na téjże saméj stronie pisze autór: „zwyczaj czytania samych tylko wiérszy (sic) bądź leoninów, bądź miarowych, i versus memoriales, który więcéj *jak od stu lat przed Gallusem* się upowszechnił, od piérwszéj młodości wkładał umysł i ucho do wierszy i sprawił, że *nikt mową niewiązaną niepisał.*“ Przecież pisali też mową niewiązaną. Patrz n. p.: Monument. hist. Germ. edit. Perz, tomy Vty i VIty i t. p. — Na str. 59 domyśla się autór, „że kronika Gallusa była tłumaczona już *za jego czasu* na język polski, i na dworze królewskim czytana. Lecz to *tłumaczenie do naszych czasów się nie dochowało.*“ Nie można się też dziwić, czemu to *tłumaczenie do naszych czasów się nie dochowało,*“ bo według wszelkiego prawdopodobieństwa, takie tłumaczenie wcale nie eksystowało. — Niepowiedział nam autor, gdzie wyczytał wiadomość o mniemaném, nawet jeszcze współczesném tłumaczeniu Gallusa. Trzeba się więc dorozumiewać tego, coby mogło być autorowi powodem do takowego mniemania.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

Przegląd.

Józefa Żochowskiego Fizyka,
wydana przez Józefa Sapalskiego, w Warszawie 1842. *w dwóch tomach, w 8ce.*

W czasie, gdzie umiejętności przyrodzone i ich do życia praktycznego zastósowanie olbrzymim krokiem postępują, pojawienie się dzieła fizyki w ojczystym języku musi być dla każdego z nas nader pożądaném. Z upragnieniem więc pochwyciłem niniejsze dzieło Pana Żochowskiego, aby je bliżéj poznać i ocenić. Autor znany już publiczności z kilku wybornych rozpraw jak „elektryczność jest początkiem światła, ciepła i wszystkich wielkich fenomenów w naturze“, „rys elektromagnetycznego systematu świata, oraz uwaga świata moralnego pod względem elektromagnetycznym;“ wreszcie „o krytyce fizyki,“ (gdzie pierwszy ważne ogłosił odkrycie, że ruch cząstek gotującéj się wody nie od cieplika, ale od elektryczności zależy),“ zdradza i w tém dziele swojém prawdziwą uczoność i zamiłowanie przedmiotu. Będąc panem języka, przechodzi rozdział po rozdziale równie czysto po polsku, równie jaśnie, jak dokładnie są mu znane rzeczy, o których pisze. Nie trzymając się zaś ściśle pedantycznego i oschłego pojedyńczych rozdziałów wykładu, ale przeplatając je zgrabnie miejscami to historyczną, to moralną, to wreszcie do życia praktycznego przemawiającą uwagą, ubarwił dzieło swoje tak układnie, tak zajmująco, że czytelnik z upragnieniem końca przebiega całe dzieło od strony do strony, niezatrzymując się nawet przy najtrudniejszych przedmiotach fizyki, bo Żochowski umiał je wykładem swoim i obok stojącym drzeworytem łaciuchnemi zrobić. — Na dowód pierwszego przytoczę wstęp z tomu 1go, gdzie autór o machinach parowych tak się wyraża:

„Gdyby mężny Rzymianin albo Grek uczony wstał z tysiącletniego grobu i zobaczył naszą machinę parową, nie powiedziałżeby, iż to jest jakiś meteor albo świat mały, przez człowieka stworzony? Zaprawdę miałby on wielką słuszność, bo skład paro-machiny najwięcéj naśladuje wielkie uniwersum. Ognisko wielkie dni i nocy, trwające nakształt słońca, centru wszystkich ciał niebieskich, rozpalone, tworzy ciągle parę, ową to atmosferę przestrzeń wypełniającą. Koło szalone, poruszane siłą pary, lata niewypowiedzianym biegiem wirowym nakształt owego rozszalałego Saturna. Inne koła zębate i walce, poruszają się systematycznie na wzór planet i komet około wspólnego ogniska. A gmach cały przybiera bieg postępujący na lądzie lub morzu, tak jak i słońce, które się może porusza ze wszystkiemi światami w przestrzeń nieskończoną. Już to nie są atomy błądzące Leucypa i Demokryta, ani atomy pozazębiane, bieg wirowy mające, Dekarta; ale to są gmachy: Sawarego, Newkomena, Wata, Wolfa, Ewansa, Trewityka, Hula, Fultona, które odprawiają bieg powolny, regularny i wspaniały. Wszystko się tu dzieje peryodycznie, jak w dziele samego Boga. Jedne części usługują drugim, a wszystko ma jeden cel ogólny dobroczynny. Moderator z niewypowiedzianą łatwością władnie wszystkim, i wszystko w najharmoniniejszym ruchu utrzymuje. A zatém nie jestże to meteorologia ludzka? Ale trwałość jest cechą dzieł wielkiego Boga, a znikomość i przemienność dzieł mądrego człowieka. Powietrze jest po wszystkie czasy i miejsca powietrzem, i żadna siła nigdy go w jego exystencyi nie zmieni, kiedy para jest zmienna, znikoma i niestateczna. Powietrze jest burzliwe, miota bałwanami wody i sam ocean pod swoją trzyma wodzą, kiedy przeciwnie para lęka się jak wścieklizna zimnéj wody, i na widok jéj, cała ją siła

natychmiast opuszcza. Ogień słońca jest wieczny i nieprzebrany; ogień ogniska przesila się i ustaje z braku brzydkiego węgla. Kule Stwórcy mają góry i przepaści, które nigdy w równowadze nie szkodzą; koła ludzkie mają zęby regularne, które się z czasem psują i wyszczerbiają, i t. d. i t. d.

Dowodem zaś jasnego tłumaczenia się jest każdy rozdział, jest rozwiązanie każdego założenia. Dobrze wreszcie obeznany autor z przedmiotem, o którym pisze, nie zaniechał téż dotknąć wszystkiego, cokolwiek godném wiedzenia z fizyki stósownie do jéj dzisiejszego postępu. Daguerotyp i galwanoplastyka, pomimo krótkości, dokładnie są opracowane.

Takiémto w czasie czytania znalazłem dzieło Pana Żochowskiego. Ale następnie zwróciłem uwagę moję na cel książki, na zwolenników natury w przedsionku zostających. Na tych zdaje się autor wcale nie być łaskawym, gdy przepomniał, że im należy wszystko objaśniać, a nie odwoływać się, jakby na rzeczy każdemu w świecie znajome; że trzeba koniecznie i drobiazgowe rzeczy przechodzić, aby być dla nich zrozumiałym, pożytecznym. W chęci bowiem uniknienia syntezy, jak sam sobie autor w przedmowie zamierzył, poprzedziwszy zasadnicze uwagi, przystępuje często do rzeczy bez jéj definicyi; tak n. p.: wyłożywszy wartość monet statycznych z góry powiada: „a więc wagi, nożyczki, szczypce i tym podobne narzędzia w działaniach swoich będą ulegały tym prawom, co i drąg pierwszego gatunku,“ — nie obeznawszy czytelnika wprzódy, coto to jest drąg pierwszego gatunku? Daléj, dla wzbudzenia jaśniejszych obrazów, wspomina niekiedy o rzeczach ważnych, ale wspomina o nich tylko nazwiskowo, jak o bezmianie, o szali Sanktoryusza, o składanym drągu Archimedesa, o jego śrubie do przelewania wody, o mikroskropie Szarla i t. d. i t. d.; nie pomny, że przedsionkowi chcą i tych rzeczy z kupionéj książki się dowiedzieć, bo na nic im się nie przyda czcze nazwisko rzeczy. Niektóre rozdziały jak powszechne własności ciał, hydrostatyka, prężność powietrza, ciężkość gatunkowa i inne jeszcze są do treści swojéj zanadto jałowe, za ogólne. W ogóle po bliższéj rozwadze nad przeczytaném dziełem Pana Żochowskiego zdaje się, iż głównym celem pracy jego nie było dokładne i gruntowne obeznanie czytelnika z fizyką, boć dla ogólnych zarysów swoich nie jest dla poczynających dostępnym, a dla świadomych nie dość co do umiejętności saméj, zachwycającym. Przy dzisiejszéj swéj formie przyda się dzieło w mowie będące, nie bez znacznéj korzyści, tylko dla tych, co egzamen z fizyki składać mają, albo co nauczywszy się umiejętności téj w obcym języku, za ojczystém wysłowieniem tęsknią.

Słuszny więc żal do Pana Żochowskiego mamy, że jak był powinien i jak mu uczoność jego w fizyce nakazywała, nie zadał sobie więcéj pracy i nie stał się przez dzieło swoje koniecznym towarzyszem, przy pouczaniu téj tyle zajmującéj i prawdziwie każdemu koniecznéj umiejętności.

Nie traćmy jednak nadziei, Pan Żochowski dał jawne dowody niepospolitych swych zdatności, i nie utracił chęci wydania fizyki godnéj siebie nie w dwóch, ale w sześciu tomach.

Dr. *Teofil M.*

Doniesienia literackie.

Kraków.

Szanowna Redakcya Tygodnika raczy umieścić w swém piśmie następujące sprostowanie:

Orędownik z roku bieżącego umieścił na str. 96. między nowinami literackiemi wiadomość, że rozprawa historyczna pod napisem *Piasty*, która niedawno z druku wyszła, jest pióra Karola Sienkiewicza, jednego z owych elektorów króla na księżycu, co tak komicznie czasem w jego sprawie szermuje. Jesteśmy upoważnieni oznajmić, że autor owéj rozprawy różni się co do zasad z Panem Sienkiewiczem, i tylko z ważnych powodów nie możem tu wymienić jego nazwiska. Wydawców Orędownika uwiodły zapewne litery początkowe; lecz ktokolwiek zna bliżéj sposób myślenia szanownego autora téj rozprawy, ten się nigdy niedopuści przeciw niemu tak krzywdzącego domysłu.

*

Najszanowniejsi z literatów Galicyi ogłosili następujący prospekt, który pośpieszamy umieścić:

Ogłoszenie.

Pisarze nasi chcąc ze swéj strony przyczynić się do wsparcia pogorzelców galicyjskich, postanowili wydać książkę pod napisem:

ALBUM,

z któréj całkowity dochód przeznaczony jest na wsparcie tych nieszczęśliwych. W przeciągu tedy kilku miesięcy wyjdzie zbiór artykułów wyłącznie do literatury pięknéj należących, zawierający: powieści, rysy historyczne, krajobrazy, poezye i tym podobne, których treścią będą po większéj części rzeczy bliżéj nas obchodzące. Dostarczają ich następujący pisarze: J. N. Kamiński, Aleksander Fredro, Walenty Chłędowski, Wincenty Pol, D. Magnuszewski, August Bielowski, Adam Gorczyński, Żegota Pauli, Stan. Przyłęcki, J. K. Podołecki, Aleks. Dunin-Borkowski i inni, których wzywamy, aby nas pismami swemi wesprzeć zechcieli. Wydanie będzie, ile możności, ozdobne, w 8ce, na pięknym papierze.

Ku prędszemu przyniesieniu pomocy pogrzelcom ogłasza się na to **Album** przedpłata wynosząca 2 złr. 30 kr. m. k., a za granicą złp. 11. Tą jednakże ceną nie kładzie się bynajmniéj tamy uczynności kupującego. Uprasza się szanowną publiczność, aby raczyła wesprzeć to przedsiębierstwo rychłem zaliczeniem. Zebraniem przedpłaty zajmują się wszystkie księgarnie lwowskie, wydawca i osoby od niego uproszone. Księgarnia Milikowskiego przyrzekła na własny koszt bez wynagrodzenia zająć się rozdaniem i rozesłaniem niniejszéj książki.

Spis PP. Prenumeratorów umieszczony będzie na końcu dzieła. Listy do Redakcyi mają być franko pod adressem wydawcy do księg. Milikowskiego nadsyłane.

Lwów, dnia 27. Lipca 1842.

J. Dunin-Borkowski.